

BIULETYN

KAWALIERA



KOŁO NR 21 STOWARZYSZENIA SAPERÓW POLSKICH W DRAWNIE
IZBA HISTORYCZNA ZIEMI PELCZYCKIEJ W PELCZYCACH

Nr 3/2020

**Łącząc się w żalobie i smutku, składamy kondolencje i wyrazy
współczucia pani Reginie Budrewicz z powodu śmierci ojca
Ś P.**

KAZIMIERZA HYNEK

5 listopada 1938 – 2 października 2020

Redakcja KAWALIERY

asp.rez. Gerard Sopiński

pplk w st.spocz. Andrzej Szutowicz

Gdy wypełni się nasz ludzki ziemski czas
Anioł siądzie także przy Twojej mogile.
Rzeknie, wstań wszak nieśmiertelną duszę masz
Skończył się Twój sen , trwał on tylko chwilę

**Z wielkim smutkiem informujemy o przedwczesnej śmierci
Ś P.**

ELŻBIETY PODOLAK

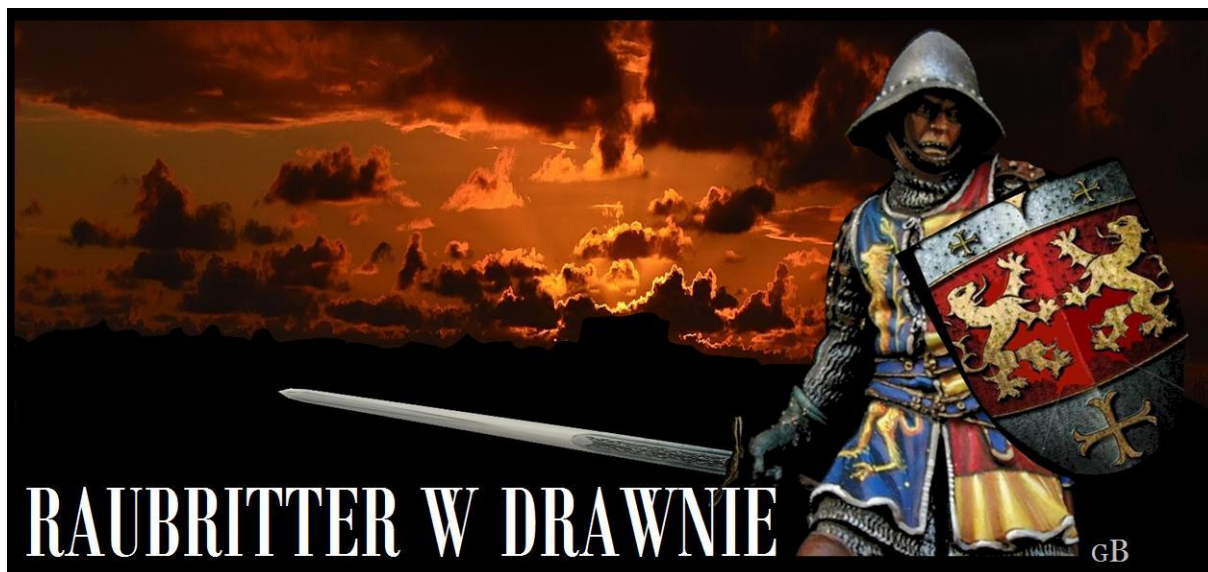
18 września 1969 – 25 września 2020

Rodzinie Zmarłej , wszystkim bliskim i przyjaciółom składamy kondolencje i wyrazy
współczucia. Była wieloletnim pracownikiem 7 Okręgowej Składnicy Sprzętu Inżynierskiego i
Materiałów Wybuchowych oraz Składu Drawno. Zapamiętana została jako osoba pogodna,
życzliwa z pokorą znosząca trudy niełatwego życia. Odznaczała się poczuciem humoru i
charakterystycznym dla siebie wyczuciem estetyki . W pierwszych latach działalności
Stowarzyszenia Saperów Polskich w Drawnie swoją wiedzą i doświadczeniem pomogła w jego
działalności. Była jego członkiem i wchodziła w skład zarządu koła. Jej niespodziane odejście
budzi głęboką refleksję nad nieuchronnym przemijaniem.

**Prezes Koła Nr 21 SSP
w Drawnie
st. chor sztab.w st.spocz. Zdzisław Walaszczyk**

**Redakcja KAWALIERY
asp.rez. Gerard Sopiński
pplk w st.spocz. Andrzej Szutowicz**

Na przełomie XIV i XV wieku w Marchii Brandenburskiej rządy sprawował margrabia Jobst Luksemburg, który nie potrafił przeciwdziałać anarchii. Do dużego znaczenia doszedł w tym czasie ród von Quitzow, spokrewniony z władcami i przekraczający w swym działaniu prawo. Działalność tych raubritterów, przeklinała szlachta, mieszczaństwo i wielki mistrz krzyżacki. W historii Brandenburgii okres ten nazywany jest przez historyków *erą panów von Quitzow*. Historyczny i największy raubritter z tego rodu – Dytryk von Quitzow miał nawet gościć na zamku Wedlów w Drawnie.



Burzliwe dzieje tych rycerzy rozbójników stały się kanwą powieści Fritza Helkego (*1905-†1967) „*Walki w Brandenburgii*” („*Fehde um Brandenburg*”), wydanej w Stuttgarcie w 1941 roku. To przykład powieści, której nie polecam czytelnikom. Nie chodzi tutaj wcale o to, że autor niewiele opierał się na źródłach historycznych. Ma przecież prawo do zabiegów literackich jak każdy powieściopisarz. Chodzi o to, że powieść pisana w czasach nazizmu pokazuje tendencyjnie w niekorzystnym świetle nie tyle raubritterów, ale książąt pomorskich, których bezpodstawnie autor nazywał „hołotą pomorską”, „świniami”, „skończonymi opryszkami” i „pijaną bandą”. Polecam natomiast gorąco wspomnianą przeze mnie ostatnio pierwszą część tomu 69 dzieł Karola Maya „*Rycerze i rabusie*” („*Ritter und Rebellen*”), która ukazuje losy sławnego Dytryka von Quitzowa. My jednak opowiemy prawdziwą historię tego rycerza rozbójnika na podstawie źródeł historycznych.

Niezwykła kariera



W ciągu nieco ponad stu lat rycerze von Quitzowowie, których nazwisko pochodziło od zamku w Przegnicy, zrobili zawrotną karierę. Z mało znanej w końcu XIII wieku rodziny rycerskiej, stali się w XIV wieku jednym z najpotężniejszych rodów Brandenburgii.

Drogi awansu były różne. Zaczęli od gromadzenia bogactw i urzędów. Nie bez znaczenia były słabe rządy władców Brandenburgii z dynastii Wittelsbachów i Luksemburgów. Na czoło rodów marchijskich wypłynęli około 1400 roku, gdy z córką namiestnika Brandenburgii Jobsta Luksemburga ożenił się Dytryk von Quitzow. W posagu otrzymał zamek Plaue nad Hawelą. A jego brat Hans, żeniąc się z Agnieszką córką Lippolda von Bredow, wszedł w posiadanie posagowego miasta Sandow nad Łabą. Odtąd były to dwa najważniejsze ośrodki rodu von Quitzow.

Rycerze rozbójnicy

Już w 1390 roku mówiono w Marchii o rozbójniku rycerzu Kunonie von Quitzow. Kronikarz Lubecki Diethmar określił go w 1391 roku „starym rabusiem”. U jego boku wychowali się synowie Dytryk i Hans. W 1402 roku obaj bracia zawarli porozumienie z księciem szczecińskim Świętoborem i hrabiami von Lindow, po czym wspólnie przeprowadzono najazd na miasto Straussberg. Dytryk von

Quitzwowie chcąc zmusić mieszczan do kapitulacji, kazał strzelać płonącymi strzałami. W ten sposób podpalono budynki, a pastwą pożaru padło 600 domów, co odnotował w swej kronice pleban Andreas Engel. Podobno miasto nie odbudowało się jeszcze w sto lat po tym najeździe.

Rozbójnicy uciskali także inne miasta. Już w 1400 roku miasta Brandenburg i Berlin skarżyły się biskupowi lubuskiemu na plagę rycerzy rozbójników, którzy każdego dnia porywali kogoś spod bram miasta, ze statku czy drogi. Z listu rajców berlińskich dowiadujemy się, że Quitzwowie wraz z hrabiami von Lindow napadli 13 grudnia 1402 roku na biskupa lubuskiego oraz na ziemię barnimską. Splądrowano 22 biskupie wioski, ukradziono majątek wart 3000 groszy oraz 56 koni należących do joannitów.

Rabusie ponosili czasami klęski. Jeszcze w 1402 roku zorganizowało się przeciwko nim rycerstwo i mieszczaństwo brandenburskie i meklemburskie, których wspólne siły rozbiły oddział rozbójników w regularnej bitwie w lesie Wernitz pod Rathenow. Dytryk von Quitzw dostął się do niewoli i na krótki okres zapanował w Marchii spokój.

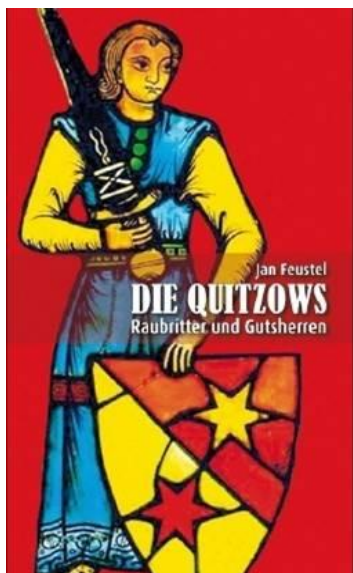
Rozbójnik namiestnikiem

Ponieważ władca nie potrafił zapanować nad anarchią, uciskane miasta Brandenburgii zaczęły przechodzić na stronę Quitzwów. Rady Berlina, Köln i Barnimia ustanowiły Hansa von Quitzowa hauptmannem, czyli starostą Marchii Środkowej, a Dytryka, dowódcą ich wojsk.

Quitzwowie nie spostrzegli się jak wprzęgnięto ich w politykę państwa. Teraz ruszali zbrojnie przeciwko swym niedawnym sojusznikom. Oswobodzili wschodnią część Brandenburgii i okręg Straussbergu, odbierając te terytoria książętom zachodniopomorskim. Lecz ich chciwość pozostała jednak taka sama. Zarówno Straussberg jak i Botzow zatrzymali dla siebie, a potem „przyjęli” z wdzięczności za swoje usługi 80 kop groszy od mieszczan z Berlina. Długo pamiętano urządzony rozbójnikom triumfalny wjazd do Berlina, podobnie jak pijaństwo i zabawy, którym nie było końca.

Polowanie na księcia Jana

Rycerze utrzymywali zewnętrzne pozory lennego posłuszeństwa wobec władcy, ale mordowali i rabowali cały czas. W 1407 roku margrabi Jobst zaprosił do Berlina księcia meklemburskiego Jana. By gość nie miał kłopotów w drodze, otrzymał od Luksemburga list żelazny. Jednak list nie gwarantował bezpieczeństwa przed Quitzwami. Gdy tylko książę Jan pojawił się na drodze, został napadnięty przez ludzi Dytryka von Quitzowa. Rycerz umieścił księcia w więzieniu na zamku Plaue, by w ten sposób zemścić się za swoje wcześniejsze uwięzienie. Drugim powodem napadu były obawy Dytryka, iż Jan został wezwany, aby objął rządy w Marchii.



Więziony książę w lutym 1408 roku spróbował ucieczki. Wydostał się z więzienia i podczas silnego mrozu, spróbował uciec po zamrożonej rzece Haweli. Ale Quitzwowie szybko zorientowali się w sytuacji.

Zaczął się pościg. Na koniach, z psami łowczymi polowano na księcia jak na zwierza. Na drugim brzegu w Brandenburgu dostrzeżono uciekiniera i wysłano dla meklemburczyka pomoc. Ale skostniałego od zimna uciekiniera szybciej dopadli ludzie von Quitzowów. Jan ponownie znalazł się w więzieniu.

Książę spędził w niewoli 14 miesięcy i byłby siedział tam dłużej, gdyby nie przypadek. Poddani księcia schwytali Hansa von Quitzowa i Dytryk musiał zgodzić się na wymianę jeńców. Dostępną rolę odgrywał w tej sprawie margrabia Jost. Nie dość, że zaprosił gościa, to nic nie zrobił, aby go uwolnić. Tak bał się zbójczy.

Operacje finansowe

Rozbójnicy wiedzieli o topniejącym skarbie Luksemburgów. Zaproponowali margrabiemu Jobstowi wykup kilku miast i zamków. Jeszcze w końcu 1408 roku za 400 kop groszy margrabia zastawił Dytrykowi von Quitzow miasto Straussberg. W dwa miesiące później Dytryk i Hans za 600 kop groszy wzięli w zastaw miasto Rathenow. Trochę później, za 200 kop groszy praskich, Dytryk stał się właścicielem ważnego zamku Friesack.

Margrabia zebrane pieniądze wywiózł na Morawy, a potem zwrócił się o nową sumę do stanów marchijskich, aby spłaciły owe zastawione zamki. Pieniądze zebrano, lecz władca ponownie je wywiózł na Morawy. Na tym tle wybuchł bunt miast marchijskich.



Krzyżackie skargi

Od 1402 roku skarżył się na Quitzowów wielki mistrz krzyżacki. Wtedy Zakon kupując Nową Marchię od Luksemburgów, stał się sąsiadem rycerzy. Z korespondencji krzyżackiej dowiadujemy się, że rycerstwo nowomarchijskie dogadywało się z Dytrykiem von Quitzow od 1406 roku. Najczęściej jednak dochodziło do zatargów.

Od raubritterskich najazdów ucierpiała najbardziej Chojna, a konflikt załagodowano układem podpisanym 23 marca 1407 roku w Malborku. Wyliczono wówczas raubritterom 150 kop groszy odszkodowania do zapłacenia chojnianom za ich straty i uwięzienie dwóch mieszczan. Dytryk von Quoitzow został zobowiązany do powetowania strat rycerzowi von Gustebiese. W drugiej połowie roku Dytryk dokonał kolejnego najazdu. 20 października 1407 roku wielki mistrz skarżył się margrabiemu Jobstowi na gwałty czynione w Nowej Marchii przez Quitzowów kupcom nowomarchijskim podróżującym do Frankfurtu i Berlina.

W następnym roku oskarżono Dytryka von Quitzowa o planowanie wraz z księciem szczecińskim Świętoborem i Polską najzdu na Nową Marchię. Krzyżacy podejrzewali go o zmowę ze spiskowcami spośród rycerstwa nowomarchijskiego. Wywiad zakonny wskazywał na współników Dytryka - Henryka von Güntersberga z Kalisza i Henninga von Wedel z Drawna. Aby osłabić pozycję Quitzowów, w 1409 roku namiestnictwo w Marchii otrzymał od margrabiego Jobsta książę szczeciński Świętobór.



Zamiast pod Grunwald to na Berlin

Quitizowowie kontrolowali wszystkie drogi wiodące do Berlina. Niegdyś witano ich tutaj triumfalnie, teraz bez wyjątków wszyscy ich przeklinali. Dlatego Dytryk postanowił zamścić się na tym mieście.

W 1410 roku pod pozorem wezwań krzyżackich o udzielenie pomocy w wojnie z Polską, Quitizowowie przystąpili



do mobilizacji oddziałów. Robili to opieszale, a gdy dotarła do nich wieść o klęsce Zakonu na polach Grunwaldu (15.7.1410), Dytryk natychmiast skierował zmobilizowane oddziały na Berlin. Najazd zniszczył posiadłości podmiejskie. Uprawdono wielkie stada bydła. Potem urządził kolejny najazd na Nową Marchię, na który skarżył się w grudniu 1410 roku wójt krzyżacki. Zapewne podczas tych walk, dostali się do niewoli dwaj nowomarchijscy rycerze Ludwik von Brederlow i Peter von Lettnin, których w lochach zamków Quitzowa wspomniano jeszcze w 1414 roku.

Do końca w opozycji

Gdy w 1411 roku namiestnikiem Marchii Brandenburskiej został burgrabia Norymbergii Fryderyk (VI) I von Hohenzollern, Quitizowowie nadal trwali w opozycji do władzy, uparcie broniąc anarchii. Trwali w takiej postawie do 1414 roku. Elektor Fryderyk I od 1412 roku przystąpił do likwidacji gniazd rozbójników. Był w tej walce wspomagany przez arcybiskupa magdeburskiego i księcia saskiego. Schwymano i uwięziono Hansa von Quitzowa. Natomiast Dytryk zdołał uciec przed wojskiem namiestnika, który w marcu 1414 roku ogłosił pokój ziemski.

Quitizowowie już nigdy nie odzyskali swego znaczenia. Co pewien czas jeszcze podnosili głowy. Sam Dytryk powrócił pod skrzydła władców i w 1414 roku z ramienia Hohenzollerna prowadził rozmowy z książętami pomorskimi. Zmarł w 1417 roku i mimo swej przeszłości, został pochowany w klasztorze Marienborn.

Raubritter na zamku w Drawnie

Przypuszcza się, że gościem na zamku w Drawnie w tych burzliwych czasach znalazł schronienie Dietrich von Quitzow, który wciągnął

Wedlów z Drawna w konflikt z Zakonem Krzyżackim. Nie wspomina się kiedy ten pobyt w Drawnie Dietricha von Quitzowa (*ok. 1366 - † 14.02.1417) miał miejsce. W związku z jego czasem śmierci w początkach 1417 roku, to mogłoby to mieć miejsce nie później niż na przełomie 1416/1417. Ale wówczas już Dytryk nie miał takiego znaczenia. Wydaje się, że jedynym takim momentem, gdy Dytryk mógł ukrywać się w Nowej Marchii był rok 1414, kiedy uciekał przed wojskiem namiestnika. Taki gość musiał przysporzyć problemów Wedlom drawieńskim, ponieważ był poszukiwany także przez Krzyżaków. Mógł mieć wpływ co najmniej na kształtowanie się u Wedlów w Drawnie postawy opozycyjnej do rządów krzyżackich w Nowej Marchii, co doprowadziło do konfliktu i odebrania Wedlom Drawna w 1421 roku.

Legenda o podwodnych mostach w Drawnie

Pobyt rycerza rozbójnika miał zapewne wpływ na powstanie legendy o podwodnych mostach Wedlów z Drawna, która wspomina, iż w czasach, gdy okolicę pławili we krwi rycerze-rabusie, Wedlowie z Drawna także mieli uprawiać ten proceder. W pobliżu ich zamku rozciągało się wiele jezior utworzonych przez rzekę Drawę, co zmuszało ich do korzystania z dalekich i czasochłonnych dróg okrężnych. Aby uniknąć straty czasu i zaskoczyć kupieckie karawany, przerzucili przez jeziora liczne mosty. Były one tak zbudowane, że znajdowały się dwie stopy pod wodą i tylko wtajemniczeni mogli z nich korzystać. Aby konie nie płoszyły się, gdy wstępowali na taki most, rycerze zawiązywali im oczy.

Oczywiście Wedlowie nigdy nie zajmowali się rozbójnictwem. Należeli do wpływowego i najpotężniejszego rycerstwa. Posiadali tak liczne majątki, że nie musieli dorabiać rozbojem. Ale związki z rozbójnikiem Quitzowem mogły w efekcie po wiekach doprowadzić do powstania takich opowieści.

Podobny przykład mamy w przypadku zamku Wedlów w Mielnie Stargardzkim. W tej okolicy znajduje się góra, na której grzebano niegdyś członków rodziny von Wedel. Z zamku droga oznaczona sznurem z dowieszonymi dzwoneczkami, prowadziła do głębokiego jaru. Było tam bardzo niebezpiecznie i opowiadano, że niegdyś bogaty kupiec lub karawana podróżnych podążająca tą drogą, została napadnięta i okradziona przez rycerzy rozbójników.

Grzegorz Jacek Brzustowicz

BYŁEM TU I TAM

Obecnie jednym z czołowych tematów medialnych jest problematyka LGBT (skrót od Lesbian, Gay, Bisexual, Transgender). Zwolennicy tolerancji tego ruchu oraz jego przeciwnicy toczą ze sobą zacięte spory. W 2005 r.(lub 2006) byłem w Warszawie. Dużo wtedy mówiło się o mającym być zorganizowanym marszu czyli tzw. parady równości. W dniu, w którym miał on nastąpić zaopatrzony w dokumentację medyczną, którą umieściłem w torbie przerzuconej przez ramię, udałem się załatwiać swoje sprawy. Przy okazji chciałem zobaczyć ową paradę . Mogło być ciekawie , gdyż ówczesny prezydent stolicy Lech Kaczyński nie wydał zgody na jej przemarsz. W momencie gdy dotarłem na Krakowskie Przedmieście owa parada choć zakazana, już tamtędy przechodziła. Na czele kroczył policjant w stopniu inspektora z odznaką świadcząca, że skakał na spadochronie. Widać było, że dowodzi silną obstawą policyjną chroniącą ten korowód, który był faktycznie festynem. dominowały w nim kolorowe szmatki.

W powietrzu roznosił się dźwięk trąbek , bębnow, oczywiście były i śpiewy itp. Ogólnie atmosfera była radosna Był to pochód, który mógł zadziwiać swoją egzotyką, a jednocześnie u osób mających inną orientację oraz obracających się w innej obyczajowości był trudno akceptowalny. W pewnym momencie zauważyłem ,że w imprezie uczestniczą także znani politycy wśród których rozpoznałem reżysera i wówczas senatora Kazimierza Kutza , ówczesnego wicemarszałka Sejmu Tomasz Nałęcza i wicepremier Izabelę Jarugę Nowacką. Kuszony możliwością zrobienia zdjęć wmieszałem się w ten korowód. Obfotografowałem komórką i polityków i „dziwolągi” .Choć widać było ,że nie jestem spośród nich, nikt mnie nie wypchał, nikt mi nic nie powiedział. Gdy dotarło do mnie ,że cały ten pochód ze wszystkich stron jest filmowany, bojąc się ,że mogę być zauważony przez znajomych oglądających TV zwłaszcza z purytańskiej części Drawna szybko wyszedłem stamtąd. Znałem dalszą marszrutę, wiedziałem, że manifestacja przejdzie ul Świątokrzyską obok budynku NBP. By dobrze widzieć co będzie się działo zająłem miejsce na schodach banku. Obok mnie stali członkowie Młodzieży Wszechpolskiej. Było ich kilku. Nie przeszkadzało mi to, bo po części byłem nacjonalistą. Gdy obok przeszła awangarda ochrony policyjnej moi sąsiedzi wyciągnęli zawiniątka w których zauważyłem kulki łóżyskowe (był też płaski klucz od roweru), rzucili je w kierunku idących, po czym biegiem natarli na czoło pochodu atakując rękoczynami kilka osób z korowodu. Wtem ni stąd ni zowąd pojawili się kamerzyści i całe zajście filmowali. Trwało to kilkanaście sekund, policjanci zorientowali się co się dzieje, zdecydowanie przystąpili do działania, wnet młodzi wszechpolanie uciekli.

Zbliżała się moja wizyta u lekarza dlatego przestałem być obserwatorem i poszedłem na przystanek tramwajowy. Akurat podjechał tramwaj i gdy do niego wskoczyłem zorientowałem się, że nie mam torby. Oprócz aktualnych wówczas wyników były w niej leki na serce i wizytownik z moimi wizytówkami. Wieczorem TV pokazała całe opisane zajście. Wyglądało to na wielką bójkę, której nie było. Nowy właściciel torby dokładnie wiedział , że mam kłopoty zdrowotne i kim jestem. Po powrocie do Drawna zacząłem dostawać dziwne smsy, po jednym z takich odpisałem by, osoba mająca moją torbę przesłała mi na adres z wizytówki tylko dokumentację. O dziwo odezwała się do mnie dziewczyna, która mnie przeprosiła mówiąc ,że o incydencie z torbą nic nie wiedziała, a wizytówkę dostała dla zabawy od kolegi. Nim odtworzyłem wszystkie badania kardiologiczne minęło trochę czasu. Zdjęcia z komórki przepadły, ale wspomnienie pozostało Na paradzie równości 11 czerwca 2005 roku wzięło udział ponad 2,5 tys. osób. Potem decyzja Lecha Kaczyńskiego w sprawie zakazu została uchylona m.in. przez wojewodę mazowieckiego.

Andrzej Szutowicz

KAZIMIERZ CZAPIEWSKI WYRÓŻNIONY NA KASZUBACH

W dniu 14 lutego 2020 r. w Borowym Młynie w gminie Lipnica odbyły się pod Patronatem Narodowym Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Andrzeja Dudy obchody 100. rocznicy powrotu Borowego Młyna i obszaru Gochów do Polski. Realizowane były w ramach ogólnopolskich uroczystości związanych z stuleciem odzyskania niepodległości. Świętowano zwycięstwo ludu, który jako pierwszy popadł w rozbiorową niewolę i jako ostatni, ponad rok od odzyskania niepodległości doczekał się POLSKI. Na zorganizowanej przez Zespół Szkół w Borowym Młynie (dyr. Grażyna Burant) uroczystej akademii osobom szczególnie zasłużonym dla regionu wręczono okolicznościowe wyróżnienia w postaci prestiżowych Bazun. Wśród nich znaleźli się dwaj duchowni; ks. protojerej Jarosław Biryłko proboszcz parafii prawosławnej p.w. świętych Apostołów Piotra i Pawła w Stargardzie, który jest także konserwatorem zabytków prawosławnej Diecezji Wrocławsko – Szczecińskiej oraz były rzymskokatolicki kapelan WP z Czarnego ks. ppłk. rez. Szczepan Madoń. Jako jeden z pierwszych Bazunę otrzymał urodzony w pobliskim Borzytuchomiu prezes RSP Rzecko Kazimierz Czapiewski.

AKT NADANIA
Honorowego wyróżnienia
Bazuna - Kaszëbskô Klëka
Panu mgr. inż.
Kazimierzowi Władysławowi Czapiewskiemu
Drëchowi z Rzecka

Prezesowi Rolniczej Spółdzielni Produkcyjnej w Rzecku; Wieloletniemu i obecnemu
choszczeńskiemu samorządowcowi; Działaczowi Buisnes Centre Club i Północnej Izby
Gospodarczej; Działaczowi ruchu spółdzielczego szczebla krajowego.

Wyróżnienie to jest kolejną formą wielkiego uznania a zarazem podziękowaniem
za całokształt Pana dokonań, które świadczą o tym, że i z dala od rodzinnych Kaszub można
dać świadectwo prężności umysłu, zdolności organizacyjnych i pracowitości naszego ludu.

Dowiódł Pan, że nie zapominając o swoim rodowodzie dzięki działalności zawodowej
i społecznej można przyczynić się do zapewnienia godnego życia dla setek rodzin,
co jest realną formą służby naszej Ojczyźnie obchodzącej w tym roku 100 lecie zmagania
Ludu Kaszubskiego o sprawiedliwą granicę.

Gratulując wyróżnienia, dziękujemy także za przykład dla innych by pamiętając o swoim
rodowodzie, krzewili dumę z dokonań przodków. Dziękujemy za Pańskie budzące podziw
patriotyczno – regionalne w tym gospodarcze postawy oraz za działalność na rzecz lokalnych
społeczeństw. Prosimy o przyjęcie naszych serdecznych życzeń dalszych satysfakcjonujących
sukcesów. Życzymy również wszelkiej pomyślności osobistej.

Grażyna Burant

Bolesław Prondziński

Alicja i Zbigniew Talewscy

Dyr. Zespołu Szkół
Czł. Honorowej Kapituły
Fundacji Naji Gochë

Wielki Mistrz Honorowej Kapituły
Fundacji Naji Gochë

Prezydent i Prezes Zarządu
Fundacji Naji Gochë

Wyróżnienie nadano w 100 rocznicę Wojny Palikowej, patriotycznego zrywu mieszkańców Gochów, którzy
16 lutego 1920 r. sercem stanęli przy Polsce a granicę odepchnęli na zachód.

Wręczono je 14 lutego 2020 r. podczas uroczystości rocznicowej na Strażnicy Pamięci i Patriotyzmu im.
Bohaterskich Gochów p.w. Chrystusa Obrońcy w Borowym Młynie

Redakcja KAWALIERY serdecznie gratuluje powyższego wyróżnienia : Andrzej Szutowicz

WOJENNE DZIEJE MIECZYSŁAWA KAMIONKA, PIERWSZEGO BURMISTRZA PEŁCZYC

Cz. II. W niemieckiej niewoli

Transport jeńców w którym jechał zatrzymał się w Wejherowie .Tam doszło do spotkania z żoną ,która pocztą
pantoflową dowiedziała się, o stojącym na miejscowej stacji pociągu z jeńcami. Tak jak i inne żony obrońców
Helu pojechała z Oksywia do Wejherowa . Szczęśliwie bo pociąg jeszcze nie odjechał. Były łyzy bo ją czekała
niepewność okupacji a jego nie wiadomo jak długa niewola. Kamionka trafił do Woldenbergu (dzisiejszy
Dobiegniew) gdzie Niemcy już 28.09.1939 r. zorganizowali Stalag II C przeznaczony dla polskich
szeregowych i podoficerów. Otrzymał nr obozowy 11972.

Jednak sprawa tego numeru nie jest oczywista. Wg eksperta od problematyki Stalagu II D Jolanty
Aniszewskiej z Muzeum w Stargardzie „Kamionka figuruje na dwóch znajdujących się w Muzeum Jeńców
Wojennych w Opolu listach przybycia/wybycia z obozu Stalag II C. Według listy sygnowanej WAST – St.II
C,I/121 (sygn. 224) wynika , że był na stanie tego stalagu (uwagi: Gehort St. II C), ale druga lista WAST –
St.II C,I.214 (sygn. 252) choć wskazuje ten sam nr jeniecki , to przywołuje Stalag II D Stargard ,stąd podaje

jego numer jako 11972 /II D. Jest także trzecie źródło mówiące o jeńcu Kamionce to dokument PCK (straty) , który podaje numer podporządkowany pod Stalag II C.

Wniosek jaki się nasuwa to ten, że w dokumencie sygn. 252 istnieje błąd choć nie można wykluczyć tego iż mógł być w Stalagu II D. Jeśli tak było to był to pobyt epizodyczny – przypadkowy. Co by numerze jenieckim nie powiedzieć to pewnym jest ,że Kamionka przebywał w Woldenbergu. Potwierdza to również jego rodzina. Żona z dwójką dzieci z nakazu okupanta musiała w październiku 1939 r. opuścić mieszkanie w Gdyni Oksywie. Przeniosła się do rodziny w Olpuchu k/ Kościerzyny na granicy Kaszub z Kociewiem. (sołectwo w dzisiejszej gminie Stara Kiszewa) . Tam spędziła całą wojnę. Budynek w którym mieściło się mieszkanie Kamionków przeznaczony został dla kadry Kriegsmarine.

Niestety dalsze losy bosmanmata Kamionki już są trudne do określenia. Otóż w obozie macierzystym



podczas jego istnienia w Woldenbergu pracowało maksymalnie 1015 jeńców (dane z 29.02.1940 r.) a reszta (29.02.1940 r. było ich 13393). znalazła się w drużynach roboczych na całym Pomorzu. Stąd wniosek ,że Kamionka mógł być wszędzie. Jeńcy w Woldenbergu zatrudnieni byli przy budowie baraków pod przyszły oflag. Warunki były trudne, jeńcy mieszkali w namiotach , szerzyły się choroby zwłaszcza zimą 1939/1940 , kiedy to kilku polskich żołnierzy zmarło. Gdy baraki dla oficerów były gotowe (tzw obóz „wschód”) zmieniono dyslokację Stalagu II C z Woldenbergu na Greifswald a 21.05.1940 r. w Woldenbergu rozpoczął działalność

słynny Oflag II C.

W 1940 r. Niemcy rozpoczęli akcję mającą na celu wymuszenie na polskich żołnierzach- jeńcach zrzeczenia się konwencyjnego statusu jeńcy po czym miało nastąpić przejście w charakterze robotnika do pracy na roli lub w przemyśle. Ponieważ stosowano przy tym szyskany włącznie z groźbami, zdecydowana większość jeńców zrzekła się swego statusu. Tak stali się robotnikami przymusowymi. Ci, którzy pozostali w mundurach wiedli dalej swój trudny jeniecki los w którym głód był im nieobcy. Kamionka postąpił jak większość i 18.07.1940 r. zamienił mundur na ubranie cywilne z literką „P” (oznaczenie Polaków robotników przymusowych). Jak podają dokumenty jenieckie trafił do urzędu pracy (Arbeitsamt) na powiat Randow (Kreis Randow) gdzie otrzymał skierowanie do pracy w 30 km na południe od Szczecina w Gartz/Oder. Co ciekawe głównym miastem gdzie mieściła się administracja powiatu był Szczecin.

Powiat ten został zlikwidowany 15.10.1939 r. wskutek powstania tzw Wielkiego Miasta Szczecin po tej reformie miasto Gartz znalazło się w powiecie gryfińskim (Greifenhagen). Czyżby nastąpił błąd czy też wspomniany urząd pracy działał w 1940 r. jeszcze pod starym szyldem ? Ponieważ Kamionka był mechanikiem okrętowym został zatrudniony w tartaku ,którego właścicielką była niejaka Dethe. Warunki w niewoli nie były złe o czym świadczy fakt zakwaterowania w hotelu ,oraz możliwość odwiedzin przez członków rodziny.

Gerard Sopiński

Tomasz Bober. WSPOMNIENIE MILICJANTA Niegdyś wyśmiewani, lekceważeni mało salonowi. Używani do tłumienia wszelkich niezadowolonych politycznych i społecznych stali się symbolem totalitaryzmu w Polsce i ogólnie byli nie lubiani. Jednak, co trzeba poznać przeciętny obywatel czuł przed nimi respekt, na ogół wieczorami panował spokój. Wykrywalność kradzieży rowerów była rewelacyjna. Mieli dokładny wgląd w środowisko i nie pozwolili sobie na jawne lekceważenie. Gdy ludowa władza upadła ich przełożeni stali się komisarzami i inspektorami, a winą za ideologiczne zło obarczono starszych sierżantów sztabowych milicji obywatelskiej MO, którzy często szli na emerytury. Natomiast ci co pozostali szkolili jak mogli nowe pokolenie policjantów i przekazywali swoją fachową wiedzę. Mówi się, że to dawni milicjanci przyczynili się do szybkiego rozbicia struktur mafijnych w wolnej Polsce. Efektywność walki milicjantów z przestępstwami czeka na solidną fachową ocenę i opracowanie.

Swoją przygodę z organami ścigania rozpocząłem w październiku 1967 r., bowiem wstąpiłem wtedy w szeregi Milicji Obywatelskiej. Był to mój świadomy i przemyślany wybór. Z polityką niewiele miałem wspólnego, ponieważ nie byłem członkiem partii, nie należałem też do żadnej młodzieżowej organizacji partyjnej. Po prostu czułem powołanie, chciałem pomagać ludziom i stać na straży wówczas obowiązującego prawa. Szkołę milicyjną ukończyłem w Słupsku, później jako posterunkowy pieszo patrolowałem ulice Stargardu, gdyż właśnie w tym mieście przydzielono mnie do Komendy Powiatowej Milicji Obywatelskiej. W trakcie jednej ze służb poznałem swoją przyszłą żonę Janinę Miętkiewicz, która uczęszczała do szkoły rolniczej w Stargardzie. Poznaliśmy się w dość nietypowych okolicznościach i, jak to często bywa, o wszystkim Zauważyłem, że dziwnie przygląda mi się piękna dziewczyna. Nagle podeszła do nas i odważnie zapytała: – Proszę Pana, gdzie tutaj mieści się komenda milicji, bo ja muszę zadzwonić do swojego taty, komendanta z Pelczyc, w bardzo ważnej sprawie. Czy panowie mogą mi jakoś pomóc?



– Tak oczywiście, obywatelko, jesteśmy od tego, aby pomagać ludziom! – odpowiedziałem z uśmiechem na twarzy. Wskazałem dziewczynie kierunek i wyjaśniłem, w jaki sposób może dojść do jednostki milicji. Niestety, nie byłem w stanie zaprowadzić jej pod drzwi komendy, gdyż nie mogłem bez zgody przełożonych opuścić przydzielonego mi rejonu służbowego. Po jakimś czasie ponownie spotkaliśmy dziewczynę, która powiedziała: – Panowie milicjanci, jestem wam bardzo wdzięczna za pomoc. Czy mogę was zaprosić na lody lub kawę? Zdziwieni śmiałością dziewczyny nie wiedzieliśmy, co mamy czynić. Z jednej strony nie mogliśmy opuścić rejonu, z drugiej zaś chcieliśmy poznać tę śmiałą i zgrabną blondynkę.

Ale my jesteśmy na służbie i nie możemy opuścić przydzielonego nam terenu – odpowiedzieliśmy. Ona jednak nie dała za wygraną, nagle wyciągnęła z torebki trzy lody Bambino. – Panowie, dajcie spokój – powiedziała. – Tu jest park, usiądźmy na ławce i zjemy ze smakiem te lody, które kupiłam specjalnie dla was w podziękowanie za pomoc, której mi udzieliliście.

Co było czynić? Nie wypadało odmówić. Obserwując, czy nikt nas nie widzi z przełożonych, usiedliśmy na ławce i zjedliśmy lody ze smakiem. Tak rozpoczęła się moja znajomość z o trzy lata młodszą Janiną Miętkiewicz i zakończyła się zawarciem związku małżeńskiego w dniu 02.08.1969 r. Owocem naszej miłości było dziecko, które urodziło się w grudniu 1971 r. Niestety niebawem zmarło. Syn Maciej przyszedł na

świat 23.06.1973 r., a że był jedynakiem, był oczkiem w głowie dziadków i matki. Na moją prośbę przeniesiono mnie w 1969 r. Stałem się kolejnym stróżem prawa na miejscowym Posterunku Milicji Obywatelskiej. Komendantem był mój teść sierż. Józef Miętkiewicz, posterunkowymi Julian Panowicz i Kazimierz Górecki. Wydawać by się mogło, że to wymarzona sytuacja, praca na miejscu, teść komendant. Niestety na początku tak nie było, gdyż ojciec żony był typowym przedstawicielem służb mundurowych, dyscyplina była dla niego najważniejsza, odczuwałem ją także w domu.

Przez dłuższy okres czasu byłem posterunkowym, nawet w prywatnych kontaktach. Teść jakoś nie mógł wypowiedzieć mojego imienia, często odzywał się do mnie bezosobowo. Ja w podzięcie mówiłem do niego „komendancie”, w pracy „panie komendancie”. Przykro mówić, ale na tym tle dochodziło do nieporozumień, a nawet awantur. Po jakimś czasie wreszcie przyzwyczailiśmy się do siebie, przeprowadziliśmy między męską rozmowę. Od tej chwili w domu byłem Tadeuszem, zaś sprawy służbowe zostawialiśmy w pracy.

Teść Józef Miętkiewicz urodził się w 1923 r. w Lucynowie, w powiecie konińskim, pochodził z wielodzietnej rodziny. Często wspominał, że od najmłodszych lat ciężko pracował na siedmiohektarowym gospodarstwie. Mimo że uczył się dobrze, ukończył jedynie cztery klasy szkoły powszechnej, gdyż rodziców nie było stać na jego kształcenie. Od 1943 r., jak wielu młodych mężczyzn, został robotnikiem przymusowym u bauera. Pracował w tej samej miejscowości, w której mieszkał, czyli w Lucynowie. Po wkroczeniu żołnierzy Armii Czerwonej w dniu 13.04.1945 r. otrzymał powołanie do Ludowego Wojska Polskiego. Dzięki dokumentom, które się zachowały, wiem, że służył w 42 pułku 11 Dywizji Piechoty w Łodzi. Mimo że nie brał udziału w walkach, odznaczono go medalem „Grunwaldu”. Po zwolnieniu z zasadniczej służby wojskowej w 04.07.1947 r. przybył na Ziemię Odzyskane i w 1948 r. osiedlił się w miejscowości Długie. Pracował w krochmalni Chlebówek (gm. Dąbrowa) w charakterze pracownika fizycznego. W 1950 r. wstąpił w szeregi Milicji Obywatelskiej i służył na posterunku w miejscowości Długie. Dnia 05.02.1952 r. mianowano go na stanowisko Komendanta Posterunku Milicji Obywatelskiej w Pełczycach. Był także, zresztą tak jak później ja, członkiem Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Teść postanowił uzupełnić swoje wykształcenie, dlatego w Pełczycach zapisał się do Ogólnokształcącej Szkoły Podstawowej dla Pracujących. Ukończył ją w 1954 r. Swoją przygodę z milicją zakończył w 1974 r., odszedł ze względu na zły stan zdrowia. Mimo że był na emeryturze w dniu 07.10.1989 r. otrzymał awans na sierżanta sztabowego. Jako jego były podwładny przyznaję, że był dobrym przełożonym. Nikogo nie wyróżniał, był sprawiedliwy i uparty, potrafił utrzymać dyscyplinę. Jako milicjant wyróżniał się tym, że chciał wszystko wiedzieć.

Pamiętam, jak codziennie przed służbą rano stał naprzeciwko posterunku na chodniku i czekał na przechodzących ludzi. Znał wszystkich, więc zebranie informacji „co się w mieście dzieje”, nie przedstawiało dla niego żadnego problemu. Mógł być wzorem do naśladowania także dla obecnych policjantów. Jednak informacje, które uzyskiwał, wykorzystywał tylko w celach służbowych, był przy tym bardzo dyskretny. Nawet my na posterunku nie wiedzieliśmy od kogo czego się dowiedział. Pamiętam, jak pewnego razu ktoś go poinformował, że jeden z nauczycieli przeholował i pobił mocno chłopca. W owych czasach karcenie uczniów było z reguły czymś normalnym i nikt na to nie reagował, ale nie Miętkiewicz. Wezwał nauczyciela i przeprowadził z nim rozmowę. Sytuacja nigdy się już nie powtórzyła. Priorytetem teścia było ograniczenie liczby przestępstw, odnosił w tej dziedzinie pewne sukcesy. Przez kilka lat na terenie gminy nie odnotowano żadnego włamania. Otrzymywał za to liczne nagrody i odznaczenia od Komendanta Wojewódzkiego Milicji Obywatelskiej. Nasza praca na posterunku rozpoczynała się o siódmej godzinie, a kończyła dopiero ze wschodem słońca. Służbę pełniliśmy w pojedynkę, środkami transportu były wyłącznie prywatne motocykle, na które otrzymywaliśmy ryczałt. Zdarzały się nieraz bardzo śmieszne sytuacje. Zatrzymany podczas interwencji siadał z tyłu na siedzenie za kierującym. Bywało tak, że delikwent był mocno pijany, więc żeby nie spadł, przywiązywaliśmy go do siebie paskiem.

Aresztowany stanowił niebezpieczeństwo, gdyż milicjant siedzący z przodu z prawej strony miał przy pasku broń palną. Trzeba było sobie jakoś radzić, jeśli któryś był bardziej agresywny, obejmował mnie w pól i wtedy zakładałem mu kajdanki. Dopiero później otrzymaliśmy na stan motocykl marki Ural z koszem. Jak my o niego dbaliśmy! Zatrzymanych od tej pory woziliśmy w koszu, kajdanki przypinaliśmy do uchwytu na wypadek ucieczki. Łamiących prawo obywateli sadzaliśmy w areszcie na posterunku. Na początku były dwie cele, później, po remoncie – jedna. Wieczorami głównie jeździliśmy sprawdzać stróżów na wsiach i dozorców w gospodarstwach. Wpisywaliśmy swoje nazwiska do specjalnych zeszytów. Po drodze kontrolowaliśmy wszystkie pojazdy jadące w naszym kierunku, przeważnie motocyklistów i rowerzystów, rzadko samochody, bo było ich bardzo mało. Przenośne środki łączności słabo działały, więc o wyznaczonych godzinach byliśmy zmuszeni dzwonić do dyżurnego. Korzystaliśmy z telefonów, które posiadali na wsiach jedynie sołtysi lub wracaliśmy na posterunek, aby zdać relację. Często wspomagali nas członkowie Ochotniczej Rezerwy Milicji Obywatelskiej. Były wśród nich osoby ideowe i bezinteresowne, ale były i takie, które z przynależności do tej

organizacji chciały czerpać korzyści. Chciałem jednak wspomnieć, że członkowie ORMO za swoją służbę nie otrzymywali żadnej gratyfikacji pieniężnej. W nocy pełnili służbę, zaś rano musieli iść do swojej pracy. Korzystaliśmy z ich pomocy przy akcjach drogowych, ponieważ niektórzy przeszli w tym kierunku przeszkolenie. Na posterunku posiadaliśmy oprócz pistoletów również broń maszynową. Jednostka wyposażona była też w radiostację i telefon na korbę oraz dwie szafy pancerne. W jednej z nich, poniemieckiej, z grubymi drzwiami znajdował się piasek. Trzeba było mieć nie lada siłę, aby ją otworzyć. Mieliśmy też swoją ciemnię i teczke do zabezpieczania śladów kryminalistycznych oraz stół daktyloskopijny. Interesowałem się fotografią, więc bardzo chętnie wywoływałem zdjęcia zrobione na miejscu przestępstwa. Policjant wtedy na posterunku musiał znać się na wszystkim, począwszy od spraw kryminalnych i prewencji, aż po ruch drogowy. Było nie do pomyślenia, aby ktoś na miejscu przestępstwa nie potrafił zabezpieczyć śladów czy wykonać czynności procesowych. Przez cały rok odnotowywaliśmy od 30 do 50 przestępstw, głównie były to kradzieże, włamania i pobicia oraz uchylanie się od obowiązku płacenia alimentów. W stanie wojennym szczególnie nacisk kładziono na ujawnianie nielegalnej produkcji alkoholu, tzw. bimbru oraz miejsc jego dystrybucji. Rzadko sprawcy tych przestępstw mogli liczyć na wyroki w zawieszeniu, ale zdarzały się wyjątki. Po odwołaniu stanu wojennego sytuacja nieco się zmieniła.

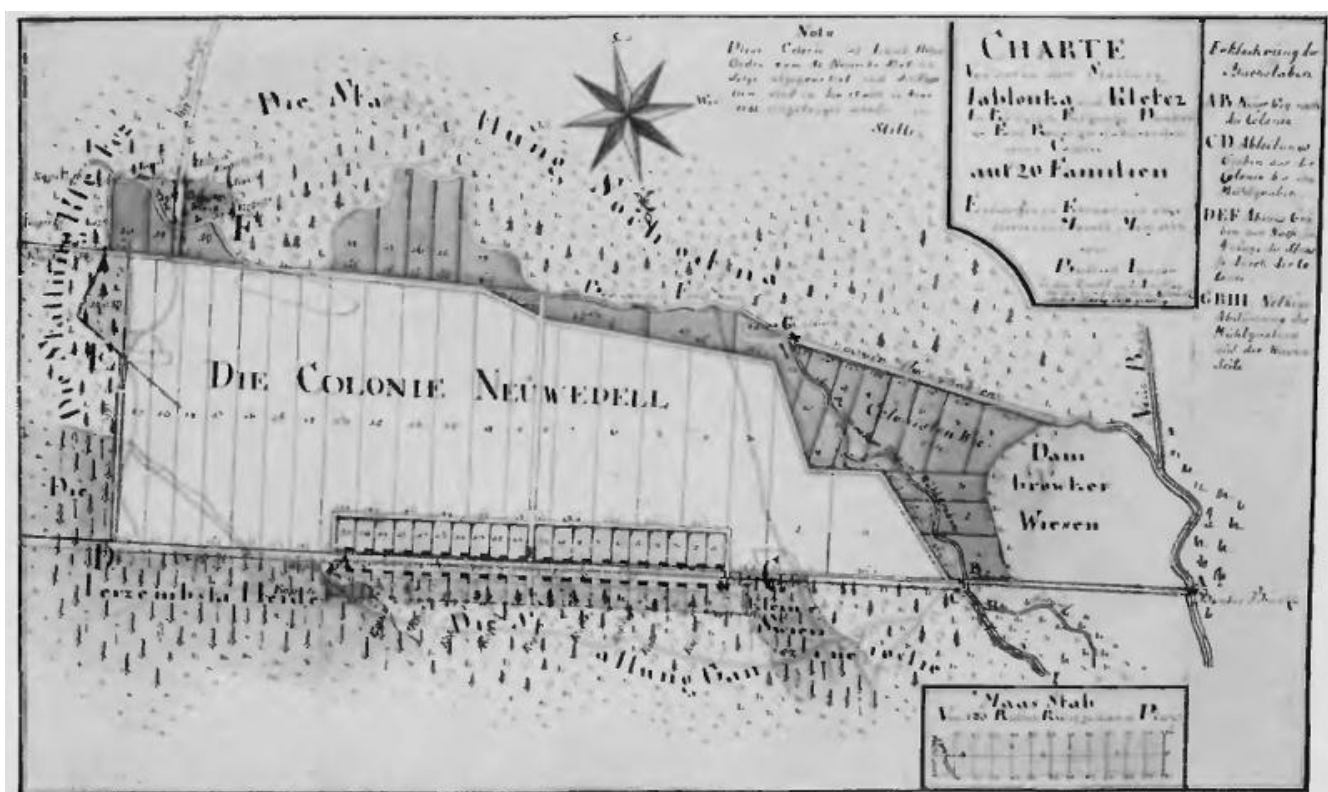
Kary bezwzględnej pozbawienia wolności otrzymywali sprawcy kradzieży, włamań, rozbojów. Ci przestępcy byli traktowani bardzo surowo. Pamiętam szczególnie grupę przestępczą, która grasowała w okolicy. Zajmowała się włamaniami do sklepów na tzw. lewarek samochodowy, którym rozginali kraty. Grasowali na terenie gminy Pełczyce, Barlinek i Dolice. Zatrzymano ich w Barlinku i na jakiś czas włamania ustały. Oczywiście, niedługo znaleźli oni swoich następców, bardziej perfidnych i pomysłowych. Pełni obaw pojechaliśmy w grudniu 1970 r. do Szczecina. Zmobilizowano wszystkich milicjantów, prócz komendantów posterunków, którzy zostali na miejscu. Skoszarowali nas w jednostce na ulicy Kaszubskiej. Na szczęście nie braliśmy udziału w tłumieniu ulicznych demonstracji. Pamiętam spalony komitet PZPR, zniszczone ulice, bardzo przykry widok. W nocy słychać było strzały. Po wypadkach grudniowych nastąpiła era Edwarda Gierka, żyło się wszystkim o wiele lepiej. W sklepach praktycznie wszystko było, ludzie byli bardziej zadowoleni. Wydaje mi się, że to miało wpływ na moje wstąpienie do PZPR w 1975 r. Uległem namowom. Muszę nadmienić, że nie jest prawdą, że każdy milicjant musiał należeć do partii. Tak wcale nie było. Stan wojenny zastał mnie w domu.

Dzień 14.12.1981 r. z kolegami z posterunku spędziliśmy na ulicach Gorzowa Wlkp. Był straszny mróz, myślałem, że tego nie przeżyję. Następnego dnia wróciliśmy do Pełczyc i na tym moja przygoda ze stanem wojennym zakończyła się. Po odejściu teścia na emeryturę zastąpił go w 1974 r. Julian Panowicz, później Edward Witkowski. Bardzo dobrym przełożonym był Krzysztof Laskowski, jego „konikiem” były przestępstwa gospodarcze. Nikt nie lubił prowadzić tych postępowań, Laskowskiego uważano za fachowca w tej dziedzinie. Po odejściu Krzysztofa Laskowskiego do komendy w Choszczynie to ja pełniłem obowiązki komendanta posterunku. Miałem nadzieję, że zostanę mianowany na to stanowisko, niestety zachorowałem i zostałem poddany operacji. Ówczesny komendant powiatowy z Choszczyna Leon Kupniewski zapewne myślał, że już do służby nie powrócę, dlatego powołał na to stanowisko Zdzisława Nowaka, który był milicjantem z Legnicy. Z pracą w milicji pożegnałem się w 1988r. i przeszedłem na zasłużoną emeryturę. Wiem, że za pełczycki posterunek odpowiadali potem Marek Kubiak, Gerard Sopiński i obecnie Jerzy Chabowski. Muszę wspomnieć jeszcze o milicjantach, którzy przez te wszystkie lata służyli na posterunku. Pamiętam Janka Kwaśniego, Sławomira Piszczala, Andrzeja Chlebowskiego, Adama Ostrowskiego, Stanisława Niżninowskiego, Tadeusza Nowaka, Władysława Sobczaka, Marka Kubiaka. *Gerard Sopiński*

DRUGIE NEUWEDEL

W Polsce jest jeszcze jedno Neuwedel tylko że przez jedno l. Miejscowość nazywa się Święciny (niem. Neuwedel) Położona jest w województwie opolskim, w powiecie opolskim, w gminie Murów. W sołectwie Grabice. Założona jako kolonia w latach 1773-1774 w ramach kolonizacji Fryderyka II . Neuwedel pojawiło się jako wioska z prostą ulicą i zostało nazwane na cześć miejscowego nadleśniczego o nazwisku von Wedel. W 1921 r. objęta została plebiscytem realizowanym na Górnym Śląsku. Spośród 190 uprawnionych do głosowania wszyscy opowiedzieli się za Niemcami. W 1945 władzę przejęli Polacy i 9 grudnia 1947 r. nadali jej nazwę na Święciny. W 2020 liczyła 53 mieszkańców.

Rys: Karte der Kolonie 1773 .Von Autor unbekannt - "Oberschlesische Landbaukunst um 1800"; Gemeinfrei, <https://commons.wikimedia.org/w/index.php?curid=19478127>



NIEZNANY WIZERUNEK DRAWNA

W dniach od 15 listopada 2007 do 17 lutego 2008 roku, na wielkiej wystawie prezentowanej w Pradze i zatytułowanej *Albrecht z Valdštejna a jeho doba*, poświęconej jednej z największych postaci w historii wojny trzydziestoletniej, zaprezentowano wielką ilość eksponatów, wśród których znalazły się i takie, których związki sięgały Pomorza i przeważnie były jeszcze nieznane dla współczesnych badaczy dziejów tego obszaru.



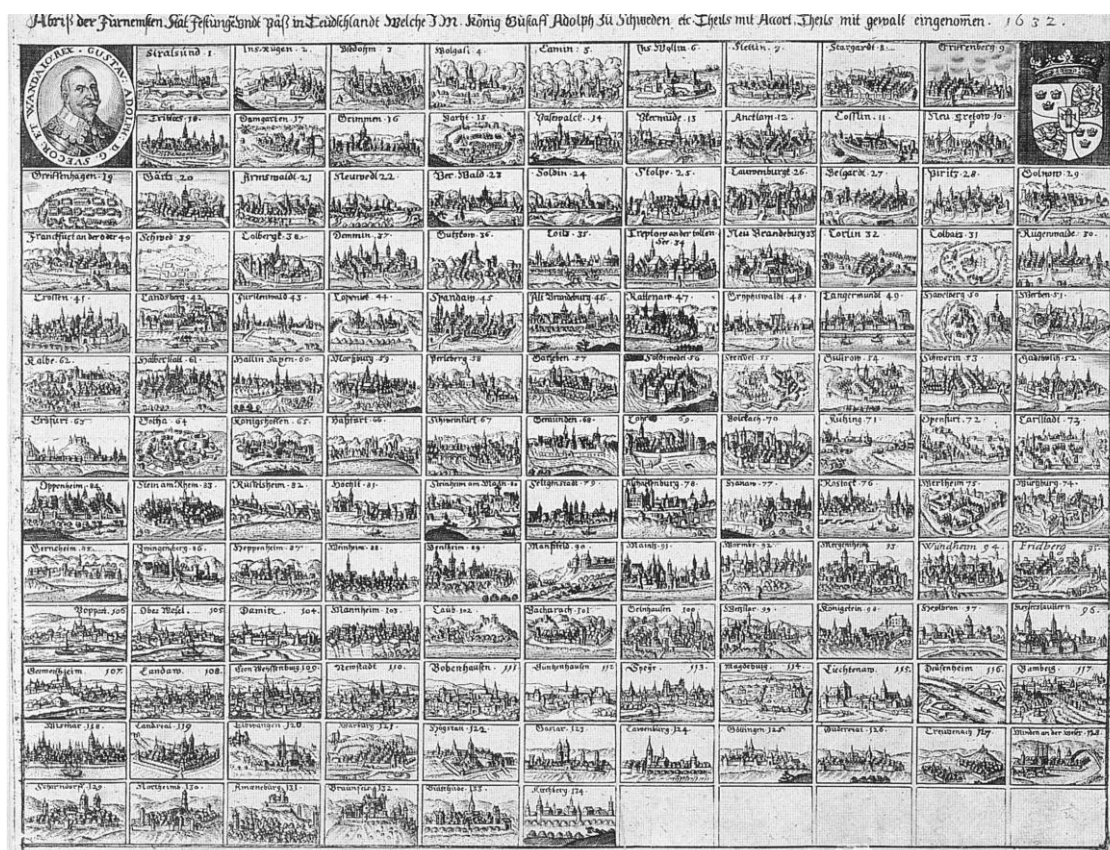
Na tej wystawie znalazły się dwa bardzo ciekawe miedzioryty, pochodzące z 1632 roku, przedstawiające wizerunki miast zdobytych przez armię szwedzką w początkowym okresie wojny. Pierwszy z nich to zestawienie *Miast, twierdz i przepraw w Niemczech, które król szwedzki Gustaw Adolf częściowo akordami, częściowo siłą zajął*.

Drugi miedzioryt został zatytułowany jako *Najważniejsze bitwy króla szwedzkiego Gustawa Adolfa*. Obydwa wyobrażenia miały spełniać zadanie propagandowe. Szerzyły sławę władcy Szwecji, który w krótkim czasie podporządkował sobie północne Niemcy.

Na obydwu miedziorytach, w trzynastu poziomych rzędach przedstawiono 134 wizerunki miast zdobytych przez armię szwedzką w latach 1628-1632. Zestawienie było drukowane w formie plakatu promującego szwedzkie zwycięstwa w Niemczech. Każdy z wizerunków przedstawia plastyczną wizję miasta, posiada też kolejny numer, wiążący się zapewne z kolejnością zdobycia, czy zajęcia przez armię szwedzką. W tym zestawieniu w rzędzie trzecim, od lewej znajdujemy: Choszczno i **Drawno** (*Neuwedl 22*), zajęte w styczniu oraz Mieszkowice i Myślibórz, zajęte przez wojska szwedzkie do czerwca 1631 roku.

Miedzioryty powstały w 1632 roku, podczas apogeum podbojów króla szwedzkiego Gustawa Adolfa. Wydaje się, że pozostawienie w ostatnim dolnym rzędzie wolnych pięciu pól, zdradza ich przeznaczenie na kolejne miasta podbite przez władcę. A zatem najprawdopodobniej miedzioryt został wykonany jeszcze przed śmiercią króla, do której doszło w listopadzie 1632 roku w bitwie pod Lützen.

Grzegorz J. Brzustowicz



Archiwum Českí Šternberk: *Stät, Festungen, undt Paß in Teudschlandt Welche I. M. König Gustaff Adolph zu Schweden etc. Theils mit Accort theils mit gewalt eingenommen.*



Z LEGENDARNEJ PRZESZŁOŚCI DRAWNA

Ciekawym uzupełnieniem historii każdej miejscowości są zawsze legendy i opowieści. Przysłowie mówi, że w każdej jest podobno „ziarno prawdy”. Nawet jeśli tak nie jest, to i tak warto o nich pamiętać.

Nazwa miasta Nowy Wedel

Miasto Drawno posiada polską nazwę dopiero od czasów powojennych. Weześniej nawiązywało do właścicieli miasta i rozległej okolicy. Kiedyś po zakończonej wojnie, Wedlowie postanowili założyć nową siedzibę. Na półwyspie dużego jeziora nad Drawą pobudowali sobie zamek, u którego stóp założyli potem miasto. Temu zaś nadali nazwę *Neunwedell*, jako że w jego założeniu miało udział dziewięciu braci von Wedel. Z biegiem czasu ostatnie „n” wypadło z pierwszej sylaby i miasto jest teraz nazywane *Neuwedel*, czyli Nowy Wedel. Inni dodają,

że Wedlowie mieli wybrać to miejsce dlatego, że było dobre do urządzania napadów na karawany kupieckie przejeżdżające przez „Polski most” na Drawie.

Śmiertelny skok Wedla

Pewien możny Wedel z zamku w Drawnie stracił życie przez lekkomyślność. W miejscu, gdzie rozwidła się szosa pomiędzy Drawnem a Dobiegniewem, wznosi się Gliniana Góra (*Lehmberg*), ze stromo opadającym zboczem. Pan von Wedel założył się, że zjedzie po tej stromej ścianie konno. Gdy chciał tego dokonać, przewrócił się razem z koniem i złamał sobie kark. Ludzie długo opowiadali, że cień zmarłego jeszcze dzisiaj ukazuje się niekiedy na miejscu tego wypadku.

Wojna Drawna z Reczem

Na zachód od Drawna znajdowała się do ostatniej wojny Puszcza miasta Recza (*Reetz Heide*). Jak wieść niesła, ten wielki las przypadł mieszkańcom Recza zapisem testamentowym jakiegoś obywatela z Drawna. Jednak oburzona rada Drawna nie wyraziła zgody na oddanie lasu. Toteż mieszczenie z Recza, aby przejąć las, musieli zarządzić wyprawę wojenną. Każdy kto mógł utrzymać broń, a było ich w Reczu ponad setka, stawili się na rynku. Potem burmistrz osobiście poprowadził oddział przez Bramę Drawską w kierunku Drawna. Po dwóch godzinach dotarli do wyrębu w lesie pod Drawnem, o który postanowili stoczyć bitwę. W to samo miejsce dotarła także armia mieszczan z Drawna. Na czele oddziału, na wielkiej krowie jechał burmistrz, ponieważ w mieście nie znaleziono dla niego konia. Wszystkim swoim mieszczanom wydał rozkaz, aby szli za nim tak długo, jak będzie jechał na ich czele.

Reczanie okazali się być bardzo przebiegli i wysłali ukradkiem zwiadowcę, który podsłuchiwał rozkaz burmistrza Drawna. Mieszkańcy Recza zaczęli natychmiast naśladować buczenie bąków i doprowadzili biedą krowę, na której jechał burmistrz Drawna do paniki. Zwierzę zaczęło wierzgać i w pośpiechu zawróciło. Wprowadzeni w ten sposób w błąd mieszkańcy Drawna, ruszyli zgodnie z rozkazem za krową burmistrza, oddalając las bez bitwy.

Dzwony dla zbłąkanych

Na wieży kościelnej w Drawnie w drugiej połowie XIX wieku znajdowało się pięć dzwonów: dwa z 1862 i trzy z 1874 roku. Dzwony biły każdego ranka i wieczoru, aby wskazać drogę do miasta ewentualnym zabłąkanym w puszczy wędrowcom. Był to zwyczaj miejscowy, o którym opowiadano legendę:

Od wieków miasto Drawno otaczały ogromne lasy. Wielu podróżnych gubiło drogę i nie mogło dotrzeć do celu podróży. Szczególne utrudnienia stwarzała śnieżna i ostra zima. Właśnie podczas jednej takiej zimy ruszył z Kalisza do Drawna wędrowny czeladnik. Przed nim była jeszcze daleka droga, a zaczął zapadać zmrok. Zerwała się do tego śnieżna zawieja, która całkowicie zasłoniła szlak. Ściana śniegu sprawiła, że czeladnik zszedł z drogi i zaczął błądzić po lesie. Zmarznięty i zrezygnowany usiadł pod sosną. W końcu zmógł go sen. Po kilku dniach zamrzniętego wędrowca znaleźli drwale. Rada miejska uchwaliła, aby w przyszłości uniknąć takich nieszczęśliwych wypadków, w zimowe miesiące, rano i wieczorem przez kwadrans biły kościelne dzwony.

Odtąd w Drawnie od dnia św. Marcina do Zapustów, każdego ranka (o 8.00) i wieczorem (18.00), dzwoniły dzwony na wieży kościelnej.

Grzegorz Jacek Brzustowicz

ZA GIERKA

W dniu 28 czerwca 1976 r. na pl. Dzierżyńskiego w Katowicach zbierał się tłum mający zmanifestować poparcie dla Edwarda Gierka. O tej planowanym przez partię (PZPR) wiecu wiadano w Gliwicach. O ile sobie dobrze przypominam można było na niego pojechać autobusem komunikacji miejskiej. Obecnie mówi się, że jechali na nią wytypowani członkowie partii, ale według mnie jest to nieprawda, gdyż faktycznie niejeden chętny mógł tam pojechać. Ponieważ główną partyjną postacią Katowic był 1 sekretarz KW PZPR Zdzisław Grudzień mówiło się, że jest to „manifestacja Grudnia”. Ja wówczas waletowałam w akademiku Wydziału Górniczego Politechniki Śląskiej im. Wincentego Pstrowskiego w Gliwicach , który mieścił się przy ul. Marii Curie Skłodowskiej 7.

Ponieważ sen o górnictwie minął, odebrałem z dziekanatu swoje dokumenty i spakowany czekałem by wyjechać na egzaminy wstępne na WAT. Rozliczając się nie zdałem legitymacji studenckiej, argumentując ,że ją zgubiłem. W jej wnętrzu trzymałem wojskowy dokument przewozowy, który był faktycznie tzw biletem jaki otrzymywali ówczesni poborowi. Jako waletujący byłem w pokoju, którego okna wychodziły na ulicę a naprzeciw był „Dom asystenta”. W pokoju tym oprócz mnie był nieco starszy student , który został wywalony (jak twierdził z przyczyn politycznych) z politechniki we Lwowie. Wieczór zapowiadał się nudny więc kupiliśmy sobie autentyczne markowe wino i sącząc je gaworzyliśmy „ o wszystkim i o niczym”. Tematem głównym był oczywiście Lwów. Tak zastał nas ciemny wieczór. Okno było otwarte. Za jakiś czas usłyszeliśmy dochodzące z zewnątrz głosy i krzyki wiwatów na cześć tow. Gierka typu „Towarzyszu Gierek – nie zawieziemy !!!”, Niech żyje, niech żyje!!!” itp.

Mój pokojowy kolega wyrzwał przez okno i zaczął rugać krzyczących, wówczas jeden z nich wrzasnął „co tow. Gierek ci się nie podoba ?” na co usłyszał od nas , że „nie !!!”. Wówczas ten z ulicy zaczął wyzywać nas od tchórzy i prowokował byśmy zeszli bo, oni są „gotowi polec za 1-szego sekretarza”. Podchwyciliśmy to wezwanie do boju i niemal lotem błyskawicy znaleźliśmy się przy naszych adwersarzach. Ci okazali się nie być chuliganami tylko statecznymi obywatelami. Nie wpłynęło to na złagodzenie atmosfery. Oni chcieli walczyć za Gierka a mój kolega chciał ich za to bić. Siłą rzeczy doszło do przepychanek, które przerodziły się w bijatykę, oczywiście nie taką jak na amerykańskich filmach. Trzeba przyznać ,że widownia była spora gdyż niemal cały akademik siedział w oknach skąd nam kibicowano. Po kolejnych autentycznych ciosach i bardziej politycznych jak wulgarnych wyzwiskach rozległy się syreny i plac boju rozjaśniał migającymi milicyjnymi niebieskimi światłami. A my jak jeden mąż uciekliśmy. Wpadłem do akademika i zacząłem szukać mego kolegę – lwowskiego studenta, okazało się, że jego tu nie było.

Poczuwając się do koleżeńskiej solidarności i by go odnaleźć wyskoczyłem przez okno niestety tak niefortunnie iż wpadłem prosto w ręce penetrujących to miejsce ZOMO- wców. Chwycili mnie pod pachy i przywlekli przed oblicze ich dowódcy. Był to niski i grubawy st. sierżant sztabowy milicji. O ile dobrze pamiętam miał wielką skórzaną torbę i chyba pasek pod brodą. Pan sierżant wyciągnął z torby notatnik i poprosił o dokumenty. Dałem mu swoją legitymację. Od razy zwrócił uwagę na znajdujący się w niej dokument wojskowy. O – rzekł - synek nie chciał się uczyć? Tak jest panie sierżancie, wywalili mnie za to – odpowiedziałem, potem dyskusja stała się moralizatorskim , ojcowsko brzmiącym monologiem... To co szefie ładujemy go ? - spytał jeden z stojących obok milicjantów wskazując na milicyjną Nyskę (samochód).Nie, rzekł ku memu zaskoczeniu sierżant, on za dwa dni ma w dupę, dostał powołanie do wojska, tam dostanie w pierdziel i szybko go nauczą rozumu. Nie pamiętam czy mnie pytano dlaczego i po co skakałem przez okno, w każdym bądź razie sierżant oddał mi dokumenty i milicjanci puścili mnie. Ponieważ to wszystko działo się pod oknami akademika stałem się bohaterem wieczoru.

Rano obudził mnie głos portierki w radiowęźle...Portierka kazała mi natychmiast opuścić akademik, a Arabowie – studenci serdecznie klepali mnie po plecach., Poszedłem na dworzec i wyjechałem do Warszawy. .. Nie mam najmniejszej wątpliwości, że to, iż pozostający anonimowym starszy sierżant sztabowy milicji puszczając mnie wolno nie tylko uratował mi tyłek przed kolegium ale uchronił mnie przed politycznymi kłopotami z całą pewnością nie studiowałbym w WAT z ukończenia którego jestem dumny. Wspominając to wydarzenie aż chce się rzec „Dziękuję Panie Sierżancie”. Po Gliwicach już wina nie piłem. Wspominał: Andrzej Szutowicz

SYMPATYKOM I CZYTELNIKOM BIULETYNU KAWALIERA ZDROWYCH I WESOŁYCH ŚWIĄT ŻYCZY : KOLEGIUM REDAKCYJNE



***W Boże Narodzenie
Gdy powietrze morowe
Wskocz w szczelne odzienie
Niech Dziecię będzie zdrowe.***

***Idąc pokłon złożyć
W rękawicach ręce miej
Maskę musisz włożyć
I spirytus wszędzie lej.***

***Trzymaj odległości,
Mierz metry do kwadratu.
Sprawdź liczbę zacnych gości
Tak unikniesz mandatu.***

***Jezus Narodzony
Wszystkich dziś błogosławi
Choć świat wywrócony
Cud w Betlejem nas zbawi.***

Rys. Krystian Czapiewski (Dębica Kaszubska) na bazie: dzieci z zabawkami pod choinką, mal. Zofia Plewińska. Pocztówka przedwojenna.



KAWALIERA

BIULETYN KOŁA NR 21

STOWARZYSZENIA SAPERÓW POLSKICH W DRAWIE
IZBA HISTORYCZNA ZIEMI PEŁCZYCKIEJ W PEŁCZYNACH

73-220 Drawno , ul. Jeziorna 2. Tel. 500 358 148.

Redaguje Kolegium:

Redaktor naczelny: Andrzej Szutowicz; z-ca red. nac. Gerard Sopiński; dział sportowy: - Jerzy Wiewiórowski;

dział ogólny: - Marian Twardowski , Jan Brycki ;

Redakcja nie odpowiada za opinie wyrażane przez autorów artykułów.